GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 CZERWCA 1938 R.
Nr. 11 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 11

1938 R.

1 — VI

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

PRZEROSTY CZY NIEDOROZWÓJ

Wszystkie t. zw. przerosty w Polsce są wyrazem dysproporcji między potrzebami a niedostateczną produkcją dóbr materialnych. Likwidacja przerostów może i powinna nastąpić wyłącznie przez wzrost produkcji a nie ograniczanie potrzeb.

Słowo „przerost" jest chyba najczęściej powtarzającym się słowem w polskiej publicystyce. Mamy przerosty pośrednictwa, biurokracji, zdolności wytwórczej i produkcji, którą trzeba ograniczać przy pomocy karteli, przerost liczby inteligencji, obciążeń i budżetu itd. itd. Można by pomyśleć, że Polska jest pod każdym względem krajem przerostów. Tymczasem wiadomo wszystkim i każdemu z osobna, że Polska jest krajem niedorozwoju.

Oczywiście, że pojęcie przerostu, jest pojęciem względnym. Przerost — to znaczy objaw jakiejś dysharmonii, jakiejś niewspółmierności rozmiarów dwóch zjawisk. O subiektywizm oceny jest tu niezmiernie łatwo, zwłaszcza w ocenach z punktu widzenia gospodarczego gdzie sąd o tem czy się czegoś robi za dużo lub za mało zależy od odczuwania danej potrzeby, które to odczuwanie nie jest jednakowe u poszczególnych jednostek i grup. Weźmy dla przykładu sprawę wydatków na obronę Państwa: jasne jest, że w stosunku do ogólnego budżetu i do dochodu społecznego nasze wydatki na ten cel są stosunkowo większe niż w krajach bogatych. A nikt jednak w Polsce nie twierdzi, że mamy przerost wydatków wojskowych. Wprost przeciwnie, panuje powszechne niemal przekonanie, że należało by wydawać więcej. Wynika to z powszechności i siły odczuwania przez społeczeństwo potrzeb bezpieczeństwa Państwa.

Inne potrzeby życia zbiorowego nie są oceniane jednakowo przez różne grupy społeczne i grupy te skłonne są oceniać jako przerosty wszystkie zjawiska gospodarcze, które nie służą potrzebom akurat tych grup, a wymagają jeszcze świadczeń, to znaczy zmniejszenia zaspokajania swoich, właściwych danej grupie potrzeb.

Zatrzymajmy się na sprawie dwóch „przerostów" pośrednictwa i aparatu państwowego. Zarzuty przerostów w tych dziedzinach są wysuwane z różnych warstw społecznych i rodzą się z odmiennych przesłanek. Pierwszy atakuje różnicę ceny otrzymywanej przez producenta i płaconej przez konsumenta, drugi wyrasta z przeciążenia podatkowego. Żaden zaś nie jest oparty na stwierdzonym nadmiarze i luksusie usług wytwarzanych przez handel i aparat państwowy, a tylko wtedy przecież można by mówić o rzeczywistym przeroście.

Porównajmy skład zawodowy ludności w Polsce i kilku innych krajach:

	Ogółem	Rolnictwo	Przem. i górn.	Handel i ubezp.	Komun. i transp.	Inne zawody	Pozost. bez zatrudn.
Polska	100	60,9	19,2	6,1	3,6	6,9	3,3
Czechosłowacja	100	34,5	34,6	7,1	5,5	10,0	8,3
Dania	100	29,6	28,4	10,8	6,9	13,2	11,1
Niemcy	100	20,9	38,8	10,8	6,2	9,8	13,5

Oczywiście, nie wyciągniemy z tej tablicy wniosku, że w Polsce jest *przerost* rolnictwa, tylko że istnieje *niedorozwój* przemysłu, inaczej bowiem upodobnilibyśmy się w metodach rozumowania do wszystkich odkrywców przerostów w Polsce. Nie mamy osobnych cyfr o aparacie państwowym, zresztą bynajmniej nie chodzi mi o ten fragment szerszej całości, jaką jest kwestia wytwarzania usług. Rozumiem przy tem, że niektóre usługi wytwarzane przez aparat państwowy mogą być uważane przez poszczególne jednostki grupy za zbędne a nawet szkodliwe, podobnie jak i niektóre usługi oddawane przez pośrednictwo handlowe, lecz nie będę wdawał się w te szczegóły. Chodzi o syntetyczne ujęcie zagadnienia.

Odsetek ludności zajętej wytwarzaniem usługi jest w Polsce mniejszy niż w innych krajach. W sumie wynosi on w Polsce 16,6 w Czechosłowacji 22,6, w Danii 30,9 w Niemczech 26,8. Nie może być zatem mowy o ilościowym przeroście pośrednictwa i w ogóle grup nie wytwarzających realnych dóbr gospodarczych. Istotą rzeczy są małe nadwyżki rynkowe produkcji rolniczej i mała produkcja przemysłowa, słowem po prostu niedostateczna produkcja dóbr gospodarczych, na bazie której żyją inne warstwy społeczne poza rolnictwem i rzemiosłem. Stąd płynie *niedorozwój* ilościowy warstw wytwarzających usługi w porównaniu z bardziej rozwiniętymi gospodarczo krajami.

Inna sprawa to stosunek ilościowy warstw nie wytwarzających materialnych wartości do sumy tych wartości produkowanych przez warstwy produkcyjne sensu stricto. Ten stosunek jest u nas gorszy, niż w innych krajach, co wyraża się w małym dochodzie na głowę ludności. *Istota zła tkwi zatem w niedorozwoju produkcji.*

Znane są obliczenia, ilu nabywców płodów rolnych przypada na 1 rolnika w Polsce i w innych krajach. Obliczenia te ilustrowały złą pozycję naszego rolnika jako sprzedawcy. Poniżej przedstawiamy obliczenia, ilustrujące sytuację producenta wyrobów przemysłowych i producenta usług jako człowieka, mającego obsłużyć potrzeby innych ludzi swoją pracą.

	Ilość osób przypadająca do obsługi: na 1 producenta towarów	na 1 producenta usług
Polska	5,2	6,0
Czechosłowacja	2,9	4,4
Dania	3,5	3,2
Niemcy	2,6	3,7

Widzimy, że i producent wyrobów przemysłowych i producent usług w Polsce musi swą działalnością obejmować większą ilość osób niż jego odpowiednik w porównywanych krajach. Zachwycamy się grzecznością i sprawnością usług w tych krajach, a więc poziomem hotelarstwa, grzecznością i szybkością pracy personelu w sklepach, przedsiębiorstwach komunikacyjnych, sprawnością aparatu państwowego itp. Zagadka rozwiązuje się prosto: ludzie mają tam więcej dóbr za swoją pracę i mniej ludzi do obsłużenia. U nas za obsłużenie większej liczby ludzi płaci się mniejszą ilością dóbr, czyli płaci się tanio. Usługa jest towarem, niezależnie od tego, czy chodzi o usługi prywatne czy publiczne. Towar tani jest towarem złym.

Ci, którzy w otaczającej nas rzeczywistości widzą tylko przerosty, mają oczywiście bardzo prostą radę — redukować. Zwłaszcza gdy chodzi o aparat państwowy. To jest takie typowe lekarstwo wolnohandlowego przedsiębiorcy z XIX wieku, który nie ponosił ani faktycznej ani formalnej odpowiedzialności za wzrost bezrobocia a od moralnej odpowiedzialności przed samym sobą chroniła go wiara w „żelazne prawa ekonomii". Państwo jednak redukując swój aparat musi zająć się bezrobotnymi, a więc tworzyć nowy aparat opieki społecznej, zwiększać służbę bezpieczeństwa itd. Rady wolno-handlowców są to przysłowiowe dobre rady, któremi brukowana jest droga do piekła. A przy tem są to rady pozbawione sensu gospodarczego.

Każdy aparat usług, czy to będą usługi publiczne, handel czy transport, musi być dostosowany nie tylko do rozmiarów dochodu społecznego (produkcji dóbr), będącego fundamentem wszelkiego życia społeczeństw ludzkich, ale i do przestrzeni oraz liczby ludności.

Przestrzeń i liczba ludności wybitnie ograniczają kurczliwość ogólnych kosztów usług i liczebności aparatu usługowego. Linia kolejowa musi mieć minimum personelu niezależnie od sumy przewozów. Jeśli przewozy są za małe, to linia będzie deficytowa, a zredukować personelu poniżej minimum wymaganego przez bezpieczeństwo i wymogi techniczne utrzymania ruchu — nie można. Pozostaje jedynie *zamknięcie* linii dla ruchu.

Aparat państwowy musi również obsłużyć określoną przestrzeń i ludność. Jest pewne nie przekraczalne maksimum obszaru i ludności obsługiwanej przez dany urząd przy danym poziomie kulturalnym ludności, środkach komunikacji itd. Zaległości spraw w sądach, przewlekłość załatwiania spraw w urzędach, niewykonywanie powszechnego nauczania i różne inne objawy świadczą o tem, że aparat państwowy jest za mały w stosunku do zadań, jakie są na niego nałożone czy przez ustawowe zakreślenie działalności Państwa, czy przez istniejące potrzeby społeczne, wyrażające, się w konkretnym zapotrzebowaniu na usługi publiczne (wymiar sprawiedliwości, szkolnictwo).

Można powiedzieć, że jest zła organizacja pracy, że można ją usprawnić. Zapewne. Lecz to nie było by jeszcze rozwiązanie sprawy.

Weźmy jako przykład urząd podatkowy. Określona ilość urzędników obsługuje pewien teren, o pewnej ilości płatników. Jest rzeczą obojętną z punktu widzenia ilości pracy czy przeciętna suma podatku na jednego płatnika rocznie wyniesie 10 czy 100 zł. Manipulacja będzie ta sama. Z punktu widzenia jednak kosztów ściągania podatków w stosunku do globalnej ich sumy, różnica będzie ogromna. W kraju biednym, w kraju o niskim dochodzie na głowę, stosunkowy koszt ściągania podatków musi być większy niż w krajach bogatych, a równocześnie urzędnik będzie gorzej płatny i będzie miał więcej pracy, gdyż w stosunku do liczby podatników, urzędników jest w nim mniej. Urzędnik będzie przeto pracował gorzej, bo towar tani jest towarem złym.

Identycznie przedstawia się sprawa w handlu. Placówka handlowa musi obsłużyć pewną przestrzeń

i pewną ilość klientów. Do obsługi określonej ilości klientów, trzeba pewnego minimum personelu sprzedającego, niezależnie od sumy zakupów czynionych przez przeciętnego klienta. Sprzedając 1 kg masła jednemu klientowi a czterem po jednej ćwiartce, kupiec ma obrót ten sam a pracy więcej. Klient kupujący ¼ lub ⅛ kg masła jest typowym klientem w Polsce. Ilość pracy a zatem i ilość ludzi zatrudnionych w handlu jest w Polsce w stosunku do materialnego wolumenu obrotów (ilość sprzedanych dóbr) większa niż w krajach zamożnych. Koszt pośrednictwa na jednostkę towaru musi być zatem duży, bo duży jest nakład pracy i na kupno tego towaru i na jego sprzedaż. Cierpi zaś na tem ilość nakładu pracy na 1 klienta: uprzejmość, jakość opakowania, dobry stan towaru (koszty przechowywania itd.). Przeciętne obroty placówki handlowej są bowiem małe; absolutna suma zysku mała, pracy dużo, czyli że praca świadczenia usług handlowych jest w Polsce tania. Towar tani jest towarem złym.

I czy można temu zaradzić redukując pośrednictwo handlowe?

Pośrednictwo rozumiem jak najszerzej. Usunięcie kupca - żyda ze wsi i stworzenie spółdzielni jest przecież tylko zmianą aparatu pośrednictwa, a nie jego likwidacją. Jakość usług handlowych można podnieść tylko zwiększając ich koszty. W krajach zamożnych mamy wielkie magazyny spożywcze, obsługujące większą przestrzeń dzięki dostarczaniu towaru do domu, żadna bowiem gospodyni nie będzie biegać codzień o kilometr do sklepu. Koszty jednak związane z tem opłacają się nabywcy i czynią tem samem opłacalnym nakład dla sprzedawcy jedynie przy większych zakupach na „głowę klienta", to znaczy przy większym dochodzie na głowę ludności, to znaczy ostatecznie przy większej produkcji dóbr na głowę ludności.

Ceterum censeo — należy zwiększać produkcję. Jest to jedyny sposób do likwidacji wszelkich „przerostów", które się wydają przerostami w stosunku do niedostatecznej produkcji dóbr gospodarczych, a które w gruncie rzeczy są ważnemi potrzebami, zaspokajanemi wybitnie niedostatecznie i źle. W miarę wzrostu produkcji względny ciężar kosztów zaspokajania tych potrzeb będzie malał przy równoczesnym wzroście absolutnych rozmiarów ich zaspokajania, a więc przy liczebnym rozroście aparatu usług: prywatnego i publicznego.

Nie ma w Polsce innych przerostów, poza przerostem sił, w interesie których jest rzekomo ograniczanie produkcji. Jednostka gospodarcza na takim ograniczaniu może zyskać, przewłaszczając na swoją korzyść drogą zwyżki cen większą ilość dochodu za mniejszą ilość swej pracy i swoich wytworów. Ale mniemać, że cała zbiorowość może zyskać na ograniczaniu swej wytwórczości, jest czystym absurdem. Niech więc producenci ograniczeń produkcji i zbytu, fabrykanci restrykcji kredytowych i hurtowi wytwórcy mentalności kartelowej zaniechają dawania swoich dobrych rad, zbudowanych na osobistym doświadczeniu, że na redukcji pracy można dobrze zarobić. Bo te rady to jak wódka: pojedyńczemu kartelowi nie szkodzą (narazie przynajmniej) ale gubią narody.

ROMAN PIOTROWSKI

REFORMA CECHÓW

Artykuł niniejszy został podzielony na dwie części, z których druga ukaże się w numerze 12-ym G. N.

Red.

I.

Pod wpływem błędnej doktryny, upatrującej w cechach jakieś średniowieczne bractwa religijne, rozwijające wśród rzemieślników działalność dobroczynno - wychowawczą, pielęgnujące w stanie rzemieślniczym t. zw. „duch łączności", doktryny oderwanej od życia i nie znajdującej żadnego naukowego uzasadnienia w historii cechów, zmieniono ustawą z dnia 10 marca 1934 r. przepisy polskiego prawa przemysłowego o cechach w ten sposób, że odjęto im możność dalszego rozwoju i istnienia.

Przed wydaniem wspomnianej noweli z 1934 r. cechy jako korporacje rzemieślników mogły na równi z analogicznemi korporacjami przemysłowców rozwijać także *gospodarczą* działalność przez „gospodarcze popieranie pracy członków korporacji, przez utrzymywanie wspólnych warsztatów pracy, składów surowców, półfabrykatów i wzorów, wspólnych magazynów sprzedaży itp.".

Historia cechów wykazuje, że właśnie w tej ściśle *gospodarczej* części ich działalności tkwiły zawsze istota i przeznaczenie cechów. Okres najchlubniejszego rozkwitu cechów łączy się z czasami, w których one nie tylko budowały własne szkółki i kościołki oraz nawoływały rzemieślników do jedności i wzajemnej braterskiej miłości, ale w których przede wszystkim jako organy branżowego samorządu rzemieślniczego regulowały planowo warunki produkcji i zbytu w poszczególnych gałęziach zespolonego w cechach przemysłu rękodzielniczego.

Dlatego nic dziwnego, że kiedy nowela z 1934 roku pozbawiła cechy możności rozwijania działalności gospodarczej, przekazując ją specjalnym organizacjom rzemieślniczym, t. zw. *„rzemieślniczym związkom gospodarczym"*, cechy zaczęły się chylić do zupełnego upadku.

Z drugiej strony nowe „rzemieślnicze związki gospodarcze", oderwane od cechów, nie mające za sobą żadnej tradycji i nie poparte należytą inicjatywą ze strony czynników, kierujących organizacją rzemiosła, w ogóle nie weszły w życie; pozostały martwym przepisem prawa.

Skutki te były łatwe do przewidzenia, na co już z początkiem 1935 r. zwróciłem uwagę w broszurze pt. „Kilka uwag o branżowych związkach przemysłowych i rzemieślniczych", gdzie wskazałem na konieczność zmiany dotyczących przepisów prawnych. Zmiana ta dość długo dała na siebie czekać, ale jednak nadchodzi. Trwające przeszło od roku prace w Ministerstwie Przemysłu i Handlu oraz w Związku Izb Rzemieślniczych nad nowelizacją przepisów prawa przemysłowego w zakresie rzemiosła zaczynają powoli doprowadzać do konkretnych wyników. Na ostatniej sesji zwyczajnej w dniu 31 marca 1938 r. Sejm przyjął w trzecim czytaniu zgłoszony przez posła Snopczyńskiego, prezesa Związku Izb Rzemieślniczych, projekt ustawy o zmianie niektórych postanowień prawa przemysłowego, dotyczących rzemiosła, ograniczony na razie do kilku najważniejszych kwestyj, wśród których znalazły się przede wszystkim cechy.

Przy obecnej reformie przepisów prawa przemysłowego o rzemiośle zasługuje na specjalne podkreślenie znamienny fakt, że zarówno czynniki rządowe (Ministerstwo Przemysłu i Handlu) jak i samorządowe (Izby Rzemieślnicze i ich Związek) uznały z pośród licznych zmian, mających się dokonać w przepisach prawnych o rzemiośle, za najbardziej naglącą *przywrócenie cechom ich uprawnień gospodarczych.* Oby to historyczne w dziejach naszego ustawodawstwa rzemieślniczego zdarzenie, wymuszone przez życie gospodarcze, potrafiło wreszcie wyplenić raz na zawsze zarówno z naszej nauki jak i polityki ekonomicznej wszelkie doktrynerstwo, kwestionujące na wskroś gospodarczą istotę cechów.

Uchwalony przez Sejm projekt przywraca cechom w pełni ich dawne uprawnienia gospodarcze, zabrane im w 1934 roku, a nadto przyznaje im częściowo uprawnienia „rzemieślniczych związków gospodarczych", które równocześnie jako praktycznie nie istniejącego uchyla. W ujęciu noweli działalność gospodarcza cechów obejmuje:

a) „obronę interesów gospodarczych członków";

b) „popieranie rozwoju technicznego i gospodarczego rzemiosła danego rodzaju lub gałęzi";

c) „organizowanie i popieranie spółek i spółdzielni celem prowadzenia składów surowców i półfabrykatów, wspólnych magazynów sprzedaży, wspólnych warsztatów pracy, podejmowania się dostaw lub robót".

Dalej już nie bezpośrednio same cechy, ale *„związki cechów"*, jakie istniały już przed nowelą z 1934 r., a które obecnie uchwalana nowela ponownie wprowadza w życie, mają obok określonych zadań społeczno - wychowawczych i reprezentacyjnych następujące uprawnienia gospodarcze:

a) „pozyskiwanie krajowych i zagranicznych rynków zbytu"; (uprzednio kompetencja „rzemieślniczych związków gospodarczych");

b) zakładanie i popieranie wszelkiego rodzaju instytucyj, przeznaczonych do wzmożenia produkcji".

II.

Treść powyższych uprawnień gospodarczych, przyznanych cechom, odpowiada całkowicie zadaniom gospodarczym, jakie cechy mają do spełnienia w zakresie przemysłu rękodzielniczego. Natomiast musi budzić zastrzeżenia *samo prawne ujęcie* tej treści.

Nie należy zapominać, że dotychczasowy art. 161 prawa przem., ograniczający kompetencję cechów do zadań ściśle społeczno - wychowawczych i samopomocowych, to wyraz całkiem innego wyobrażenia o przeznaczeniu i roli cechów, to wykwit doktryny, która niosła zagładę cechom. Skoro obecnie dokonał się szczęśliwy zwrot w naszej polityce gospodarczej w stosunku do cechów, które dzięki temu będą mogły spełnić swe posłannictwo w dokonać się mającym, tak bardzo upragnionym uzdrowieniu naszego przemysłu rękodzielniczego, powinno to nowe, programowe ustosunkowanie się do cechów znaleść należyte odbicie przede wszystkim w samej ustawie; odbicia takiego ono nie znajdzie, jeżeli najbardziej istotne i naczelne zadania cechów będziemy ujmowali jako jakieś dodatkowe, końcowe uzupełnienie dotychczasowego, nieszczęśliwego art. 161 prawa przemysłowego, jak to uchwalił Sejm. Żaden ważniejszy przepis prawny, zwłaszcza o tak zasadniczym i programowym znaczeniu, jak art. 161 prawa przemysłowego, nie może stanowić zlepku i łataniny różnych koncepcyj; nie może on zaczynać się od rzeczy drugorzędnych a kończyć się na kwestiach najważniejszych i najbardziej istotnych, lecz wręcz odwrotny porządek rzeczy powinien być zachowany. Przepis taki musi tworzyć jasną, logiczną, organicznie zwartą całość, zgodnie z programem polityczno-gospodarczym, jaki wyraża, aby mógł być równie konsekwentnie realizowany w praktyce. Redakcja art. 161 prawa przem., zawarta w projekcie posła Snopczyńskiego, jest pod tym względem bez zarzutu, ujmuje ona w właściwej kolejności zadania cechu zwięźle i jasno i do tej też redakcji należało by w Senacie bezwzględnie powrócić.

Drugi błąd techniki kodyfikacyjnej w ujęciu gospodarczym uprawnień cechów, który w Senacie należało by usunąć, to wskazanie — „pozyskiwania krajowych i zagranicznych rynków zbytu" — oraz — „zakładania i popierania wszelkiego rodzaju instytucyj, przeznaczonych do wzmożenia produkcji" — jako zadań *„związków cechów"*, a nie przede wszystkim samych cechów na równi ze wszystkimi innymi ich zadaniami gospodarczymi. Nie ma żadnej przyczyny gospodarczej ani prawnej wykluczać z góry możliwość, że znajdą się cechy, które zechcą i potrafią we własnym zakresie zdobywać dla siebie krajowe czy zagraniczne rynki zbytu albo też zakładać instytucje dla wmożenia produkcji swoich członków. Tak samo nie ma z drugiej strony żadnej ani gospodarczej ani prawnej przyczyny, dla której „związki cechów" nie mogłyby mieć w swym programie także innych zadań gospodarczych, które w myśl noweli mają przysługiwać samym cechom.

Logika życiowa każe przyjąć zasadę, że przede wszystkim same cechy jako podstawowe jednostki samorządu rzemieślniczego, mogą w granicach własnej kompetencji spełniać *wszystkie* zadania *gospodarcze*, przysługujące samorządowi rzemieślniczemu. Natomiast „związkom cechów" przysługiwałyby z pośród tych samych zadań te tylko, które zdaniem samych zainteresowanych cechów przerastałyby ich siły, albo które owocniej i sprawniej dałyby się zrealizować w ramach „związków cechów". Z natury rzeczy wynika, że trudno z góry stanowczo przewidzieć, którym zadaniom poszczególne cechy nie potrafią podołać i będą musiały je realizować w ramach swoich związków. Dlatego też trudno z góry przykazywać *wyłącznej* kompetencji „związków cechów" którekolwiek zadania gospodarcze cechów. To samo zresztą dotyczy zadań niegospodarczych (społeczno - wychowawczych) cechów.

III.

W zakresie *organizacji* cechów uchwalona przez Sejm nowela wprowadza znaczne zmiany.

Dotychczasowy blankietowy przepis prawa przemysłowego (art. 162), pozostawiający Ministrowi Przemysłu i Handlu określenie w drodze rozporządzenia: szczegółowe zadania cechu, okręg działalności cechu, jego oganizację wewnętrzną, prawa i obowiązki członków cechu, zakres i sposób wykonywania nadzoru przez władzę przemysłową, warunki zatwierdzenia statutu przez władzę przemysłową oraz warunki i sposób likwidacji cechu — nowela zastępuje konkretnymi postanowieniami.

W myśl noweli *statut cechu* określa jego ustrój wewnętrzny w szczególności:

1) nazwę, siedzibę, okręg cechu oraz rodzaj względnie gałąź rzemiosła, objętego cechem;
2) szczegółowe zadania i środki działania;
3) prawa i obowiązki członków oraz warunki ich przyjęcia, wystąpienia i wykluczenia;
4) sposób ustanawiania opłat oraz sposób ich ściągania;
5) fundusze cechu;
6) rodzaj i uprawnienia walnych zebrań członków, sposób ich zwoływania oraz warunki prawomocności uchwał;
7) liczbę i sposób powoływania członków zarządu, jego zakres działania oraz warunki prawomocności jego uchwał;
8) zatwierdzanie budżetu i rocznych sprawozdań rachunkowych;
9) sposób reprezentowania cechu;
10) warunki i sposób dobrowolnego rozwiązania cechu, sposób jego likwidacji i przeznaczenie pozostałego majątku zarówno w przypadku dobrowolnego jak i przymusowego rozwiązania.

Uderza w powyższym ujęciu ustroju cechów wyjątkowo daleko idąca swoboda, pozostawiona w tym względzie cechom. Z tak znacznej swobody wew-

nętrznego urządzenia się nie korzystają nawet *ściśle prywatne* spółki handlowe ani żadne inne stowarzyszenia lub zrzeszenia prywatne. Zdawało by się, że skoro dla tych ściśle prywatnych organizacyj dotyczące przepisy prawne zawierają mniej lub więcej dokładne, konkretne postanowienia co do ustroju ich władz zarządzających, nadzorczych i uchwalających, dalej co do podstawowych wzajemnych praw i obowiązków ich członków wobec własnych władz i osób trzecich, tem bardziej powinny istnieć analogiczne postanowienia prawne w stosunku do cechów, które jako podstawowe jednostki samorządu rzemieślniczego o charakterze publiczno - prawnym są czemś daleko więcej, niż jakakolwiek spółka handlowa lub inna ściśle prywatna organizacja gospodarcza.

W tym stanie rzeczy należy liczyć się w praktyce z łatwą możliwością znacznej dobrowolności i różnorodności w ustroju wewnętrznym cechów, co nie pozostało by bez wpływu na działalność cechów na zewnątrz.

Nie małe przy tem trudności i tarcia wewnętrzne w łonie samych cechów będzie powodowała przewidziana w noweli możność łączenia się czeladników w *autonomiczne „koła czeladników"* w obrębie poszczególnych cechów w celu „współdziałania w spełnianiu zadań cechu". W myśl noweli koła czeladnicze stanowią *„przy cechu* organizację autonomiczną, działającą na podstawie *własnego* statutu wewnętrznego, posiadającą *własne* władze oraz *własne* fundusze, *niezależne* od funduszów cechu". Nowela zastrzega kołom czeladniczym w szczególności „współudział w regulowaniu spraw, tyczących się tych urządzeń cechu, do których utrzymywania przyczyniają się czeladnicy bądź funduszami, bądź współpracą lub których celem jest niesienie pomocy czeladnikom i uczniom (terminatorom)". W końcu postanawia nowela również bez jakichkolwiek bliższych określeń, że „w sprawach obchodzących zarówno pracodawców jak i pracowników zarząd cechu oraz zarząd koła czeladniczego mogą obradować wspólnie".

To „państwo w państwie", jakim będą autonomiczne „koła czeladnicze" w autonomicznych cechach, bez sprecyzowanych w ustawie granic swych uprawnień i sposobu ich realizowania w razie trudności ze strony władz cechu, będzie musiało swoje na razie bliżej nieznane uprawnienia dopiero w praktyce wywalczać.

Na władze przemysłowe I-ej instancji, powołane do zatwierdzania statutów cechów i „wewnętrznych" statutów kół czeladniczych, spadnie bardzo trudny i odpowiedzialny obowiązek czuwania, aby te dwie grupy interesów, korzystające z autonomii w ramach jednej organizacji, były jak najmniej ze sobą skłócone i nie paraliżowały działalności samej organizacji tj. cechów.

Uważam, że obowiązek taki przerasta możliwości naszych starostw, z których tylko niektóre może potrafiłyby mu podołać. Powtóre uzależnienie tak doniosłego zagadnienia od właściwości licznych starostw pociągnie za sobą nieuniknienie silne zróżniczkowanie się praktyki, która przeciwnie powinna być w tym względzie jak najbardziej jednolita, zwłaszcza wobec ustawowo pozostawionej cechom i ich kołom czeladniczym wielkiej swobody w wewnętrznym urządzaniu się.

Aby przedstawione trudności w zakresie wewnętrznego ustroju cechów usunąć, należało by przede wszystkim:

1. Sprecyzować w samej ustawie, jakie władze musi mieć każdy cech jako osoba prawna, jaki ma być ich wzajemny stosunek, jakie zasadnicze prawa i obowiązki mają mieć członkowie cechu w stosunku do władz cechu i naodwrót oraz wyraźne stwierdzenie, że za zobowiązania cechu wobec osób trzecich odpowiada tylko cech swoim majątkiem a nie jego członkowie. To ostatnie postanowienie przewidziano w projekcie posła Snopczyńskiego i, nie wiadomo dlaczego, pominięto je w tekście, uchwalonym przez Sejm.

2. Równie ściśle powinno być określone w samej ustawie stanowisko czeladników w cechu.

Nowela przyznaje czeladnikom w cechu jakąś daleko idącą autonomię, bo niczem nieograniczone *prawo* (nie tylko możność) *współdziałania z mistrzami w spełnianiu wszystkich zadań cechu*, co więcej zrzesza czeladników w ramach cechów w jednostki autonomiczne, rządzące się własnymi statutami, zatwierdzanymi na równi ze statutami cechów przez władze przemysłowe I-ej instancji; — ale na czem konkretnie to „współdziałanie" ma polegać, jakie realne uprawnienia daje ono czeladnikom w cechu w stosunku do mistrzów i co ma się dziać w razie konfliktu między mistrzami a czeladnikami co do ich uprawnień, kto ma te spory rozstrzygać, o tem wszystkim nie ma w noweli najmniejszej wzmianki. Jest przy tem rzeczą charakterystyczną, że nowela mówi tylko o uprawnieniach czeladników, a nie wspomina ani jednym słówkiem o ich obowiązkach w stosunku do mistrzów i cechów.

Nie zdawano sobie najwidoczniej sprawy, że takie ujęcie prawne stanowiska czeladników nie daje im w cechu żadnych konkretnych praw, stwarza natomiast w cechach formalną podstawę do ciągłych walk między mistrzami a czeladnikami o ów bliżej nieokreślony „współudział" w spełnianiu zadań cechów. Zamiast ułatwić cechom łagodzenie istniejących sprzeczności interesów między mistrzami a czeladnikami, nowela je znacznie pogłębia przez przeciwstawienie sobie w ramach jednej wspólnej organizacji cechów dwu równorzędnych, odrębnych obozów mistrzów i czeladników, które będą walczyły o swój udział w spełnianiu zadań cechu z oczywistą szkodą dla samej pracy cechu.

To rozbicie jednolitych dotąd cechów, zrzeszających tylko samoistnych rzemieślników, na dwie odrębne organizacje mistrzów i czeladników, złączone pod wspólnym dachem cechu, nadaje cechom jakieś specyficzne zabarwienie socjalne, obce charakterowi i przeznaczeniu cechów.

Nie należy zapominać, że naczelnym zadaniem cechów *musi być* tak samo, jak dawniej, *ciągłe zdoby-*

wanie dla przemysłu rzemieślniczego i złączonego z nim stanu rzemieślniczego jak najkorzystniejszej pozycji w gospodarce narodowej, a w ślad za tem także w życiu politycznym narodu. Możność realizowania tego zadania mieści się całkowicie w nowej kompetencji cechów, obejmującej także gospodarczą działalność. Aby cechy mogły z tego zadania jak najlepiej się wywiązać, *muszą z natury rzeczy kierować pracą cechów najsilniejsi z pośród stanu rzemieślniczego,* a tymi są oczywiście tylko już samodzielni, niezależni *mistrzowie* rzemiosła. Mistrzowie, o których pamiętajmy, że to nikt inny, tylko wczorajsi czeladnicy, których szeregi uzupełnią jutro znów dzisiejsi czeladnicy.

Dlatego nie wolno ustawodawcy, skoro słusznie chce także czeladników do cechów wprowadzić, tych dwu grup członków cechu sobie wzajemnie przeciwstawiać, bo osłabia to siły twórcze cechów. Poręczając czeladnikom pełną ochronę ich pracy, musi ustawa równocześnie czeladników jak najsilniej zespolić z cechami, wciągnąć ich do karnej ścisłej współpracy z mistrzami pod ich kierownictwem, na rzecz najwyższego dobra całego stanu rzemieślniczego, jakiemu cechy mają służyć.

Tworzenie jakichkolwiek odrębnych organizacyj i władz czeladników w obrębie cechów jest, jak już wyżej wyjaśniłem, wysoce niepożądane. Władze cechu powinny być jedne i wspólne dla wszystkich członków cechu; czeladnikom należy jedynie zapewnić już w samej ustawie odpowiedni, procentowy udział we wszystkich władzach cechu, nie przekraczający ⅓ ogólnej liczby członków poszczególnych władz, a to w celu umożliwienia im zaznaczenia w każdej sprawie cechu swego ewentualnego odmiennego zapatrywania. Jeżeli taki odrębny sąd czeladników, wyrażony w jakiejkolwiek konkretnej sprawie, będzie słuszny, potrafi on zawsze znaleść potrzebną większość wśród swoich starszych towarzyszy — mistrzów. Jeżeli natomiast odmienne zdanie czeladników nie potrafi w cechu znaleść dobrowolnego uznania, było by niesprawiedliwą niekonsekwencją narzucać je siłą mistrzom, którzy są w cechach przede wszystkim powołani do kierowania losami rzemiosła i są za to kierownictwo odpowiedzialni.

W tym samym procentowym stosunku najwyżej ⅓ powinien również wyrażać się udział czeladników w ponoszeniu opłat na wspólne cele cechu, co powinno być zastrzeżone w samej ustawie, aby wykluczyć w praktyce możność dalej idącego obciążenia czeladników.

Analogicznie powinien być ustawowo uregulowany procentowy udział (⅓) czeladników także w „związkach cechów" oraz w Izbach Rzemieślniczych i w ich Związku.

Własne sądy polubowne przy cechach, przewidziane w art. 163 prawa przem., uważam za odpowiednią instancję do rozstrzygania ewentualnych sporów między mistrzami i czeladnikami członkami cechu, z tem, że należało by równocześnie stworzyć przy Izbach Rzemieślniczych odpowiednią instancję odwoławczą dla tych sądów.

3. Dla ujednostajnienia ustroju cechów i ich związków oraz usprawnienia ich pracy jest dalej bezwzględnie wskazane, aby tak samo, jak rozwiązywanie, tak też i zatwierdzanie statutów cechów należało do wyłącznej kompetencji władzy wojewódzkiej, decydującej w każdym wypadku w porozumieniu z terytorialnie właściwą Izbą Rzemieślniczą, z tem, że w razie jakiejkolwiek nieuzgodnionej różnicy zdań między Województwem a Izbą Rzemieślniczą powinien rozstrzygać ostatecznie Minister Przemysłu i Handlu po wysłuchaniu opinii Związku Izb Rzemieślniczych.

Statuty „związków cechów", obejmujących obszary dwu lub więcej województw, zatwierdzałby i rozwiązywałby je w miarę potrzeby bezpośrednio Minister Przemysłu i Handlu po wysłuchaniu opinii Związku Izb Rzemieślniczych, który ze swej strony opierałby się na opiniach zainteresowanych Izb Rzemieślniczych.

Wyrażoną w tym ustępie (3) poprawkę uważam za nieodzowną w razie utrzymania cechów jako organizacji *dobrowolnej.* Z charakterem dobrowolnym cechów jednak się nie zgadzam dla przyczyn, wskazanych w rozdziale końcowym niniejszych rozważań.

ROMAN SZYMAŃSKI

ETATYZM A PRZEMYSŁ PRYWATNY

Racjonalizacja współpracy przedsiębiorczości państwowej i prywatnej stanowi istotny czynnik rozwoju krajowego przemysłu.

Ewolucję form działalności gospodarczej obserwujemy nie tylko u nas w kraju, ale także, i to przede wszystkim za granicą: w Sowietach, w Niemczech, Włoszech a nawet i w krajach o najbardziej tradycjonalistycznej doktrynie gospodarczej jak w Stanach Zjednoczonych, we Francji i w Anglii. Sens wszystkich tych przeobrażeń jest jeden, aczkolwiek formy w jakich one występują, są różnorodne; polega on na tem, że w miejsce indywidualnej gospodarki przemysłowej zaczyna wstępować z coraz większą siłą państwo czy to w drodze coraz bardziej zwiększającego się interwencjonizmu w działalności poszczególnych prywatnych jednostek gospodarczych czy też w drodze rozszerzania się własnej działalności gospodarczej państwa tzw. etatyzmu.

W Polsce problem ten omawiany jest stale od dłuższego czasu na płaszczyźnie dyskusji o tzw. etatyzmie. W uwagach niniejszych nie będę bliżej roztrząsał zagadnienia etatyzmu, jestem bowiem przekonany, że z obu stron, zarówno ze strony przeciwników etatyzmu jak i jego obrońców, wysunięto już dosyć argumentów.

Z dotychczasowej dyskusji na temat etatyzmu wyprowadzam jeden główny i prosty wniosek a mianowicie ten, *że etatyzm i interwencjonizm państwowy istnieje, i bez względu na to czy to się komu podoba czy nie podoba, trwa i wykazuje stale tendencję rozwoju* mimo ataków i oporu tak bardzo wpływowych w naszym kraju kół jak Lewiatan i mimo gorących sympatyj dla inicjatywy prywatnej wielu „czynników decydujących".

Rozmiary działalności gospodarczej państwa przedstawił w sposób bardzo szczegółowy p. dr. Bernardzikiewicz na łamach „Przeglądu Gospodarczego" oraz w swej książce pt. „Koncern państwowy w Polsce".

Opierając się na opracowaniach dr. Bernardzikiewicza, których pod względem danych liczbowych zwłaszcza po dokonanych przeze mnie sprawdzeniach, nie mam powodu kwestionować, należy stwierdzić co następuje:

1) wartość majątku państwa-przedsiębiorcy wynosi przeszło 13 miliardów złotych, co według przypuszczalnych obliczeń stanowi około 11 do 16% ogólnego majątku narodowego;

2) Obroty przedsiębiorstw państwowych wynosiły w 1932 względnie 1932/33 r. około 2.758 miliardów złotych, podczas gdy ogólny obrót w przemyśle i handlu wyniósł około 14 miliardów zł.

W rezultacie obroty odcinka państwowego stanowiły około 17% ogólnych obrotów, a jak wynika z obliczeń warszawskiej Izby Przemysłowo-Handlowej z 1933 r. nawet 18%.

W chwili obecnej autor szacuje obroty odcinka państwowego na około 20% ogólnego obrotu.

3) liczba zakładów pracy znajdująca się w całkowitym posiadaniu państwa, nie licząc tych warsztatów pracy, a mianowicie spółek prawa handlowego, w których państwo posiada poniżej 100% kapitału, wynosi 998,

4) ogólna kwota zakupów państwa i przedsiębiorstw państwowych wyniosła w roku 1936/37 około 1,700 milionów złotych, z czego na zakupy towarów przemysłowych przypada według owych obliczeń około 1.500 milionów złotych, co w stosunku do ogólnego obrotu przemysłowego w Polsce stanowi — moim zdaniem — około 20%.

5) na przestrzeni ostatnich kilku lat notuje się dalszy stały wzrost spółek prawa handlowego o poważnym względnie dominującym udziale kapitału państwowego.

Zestawienie powyższych danych jest bardzo charakterystyczne. Wynika z nich bowiem, że rola państwa w naszym życiu gospodarczym jest potężna.

Jakie więc należy wyprowadzić wnioski z powyższych cyfr?

Jak dotychczas, jedynym wnioskiem, wyciąganym z tego stanu rzeczy, jest prowadzenie stałej i zaciętej walki przeciwko etatyzmowi. Walka ta uzewnętrznia się w ciągłych atakach prasowych, w ciągłych interwencjach osób wpływowych u czynników jeszcze bardziej wpływowych i w stałym atakowaniu etatyzmu z trybuny parlamentarnej przez porteparolów inicjatywy prywatnej. Od czasu do czasu tylko np. przy sposobności powołania do życia komisji do zbadania działalności przedsiębiorstw państwowych w miejsce walki występuje krótkotrwała „pax romana" jak to raz dowcipnie powiedział w Sejmie p. poseł Wierzbicki.

Jednym z najważniejszych zarzutów, jaki wysuwany jest ze strony Lewiatana przeciwko przedsiębiostwom państwowym, jest zarzut, że dają one zbyt małe zyski i że niejednokrotnie korzystają one z subwencji lub innej formy pomocy państwa na pokrycie swych faktycznych deficytów. Pomijając fakt, że zarzut taki jest w ogóle nieuczciwy ponieważ wysuwany jest przez przedstawicieli odcinka działalności gospodarczej, opartego właśnie na stałych dopłatach ze strony społeczeństwa, któremu narzuca się dzięki różnym kombinacjom kartelowym ceny znacznie wyższe niż to wynika z prostej kalkulacji, chciałbym jednak zaznaczyć, że jeśli nawet zarzut ten jest w wielu

wypadkach słuszny, to jednak okoliczności, które powodują złą działalność przedsiębiorstw państwowych są w znacznej części wynikiem polityki samego Lewiatana. Na jedną z konsekwencji tej polityki chciałbym też zwrócić uwagę.

Sądzić należy, że niema w rzeczywistości między warsztatem pracy, stanowiącym własność państwową, a warsztatem pracy, stanowiącym własność prywatną, zasadniczej różnicy, gdyż każdy z nich spełnia ze społecznego punktu widzenia identyczną rolę dostarczania społeczeństwu lub państwu towarów przemysłowych.

Gdyby każdy z tych warsztatów był dobrze, sprawnie i uczciwie prowadzony, to każdy z nich powinien się stale rozwijać, stale rozszerzać i to nie tylko w zakresie swej własnej produkcji ale nawet w zakresie pomocniczych działów produkcji. Jeśli przedsiębiorstwo współczesne bez względu na to czy prywatne czy państwowe dobrze prosperuje, to z konieczności tak jak Ford, jak Krup, jak koncerny Mitsuich i Mitsubischich — musi coraz bardziej rozszerzać swój zakres działalności. W tym rozszerzaniu się uwidacznia się właśnie wartość organizacyjna kierownictwa współczesnego przedsiębiorstwa i tkwi w nim zalążek przemysłowej potęgi całego państwa. Tymczasem u nas zdolności organizacyjne kierowników przedsiębiorstw państwowych natrafiają na olbrzymie trudności. Przy każdym rozszerzeniu działalności przedsiębiorstwa państwowego robi się zaraz wielki krzyk o przerosty etatyzmu, o niszczenie własności prywatnej. W rezultacie kierownik państwowego warsztatu przemysłowego jest odrazu związany w swej inicjatywie i z góry jest nastawiony na to, aby powierzoną mu pracę wykonywać tylko w wąskim zakresie swych regulaminowych możliwości. W tych warunkach kierownik przedsiębiorstwa państwowego wpada odrazu w nastawienie biurokratyczne i z konieczności musi drogo pracować. Jeżeli zaś zdobędzie się na odwagę i wbrew nagonce rozszerzy działalność swej pracy, to może się liczyć z tem, że prędzej czy później albo będzie miał osobiste przykrości albo mu każą poprostu zlikwidować swe ambicje twórcze. W obawie więc o własne zyski Lewiatan w walce z przedsiębiorstwami państwowymi wytwarza z góry, mimo to, że sam nie jest zdolny do rozwoju inicjatywy prywatnej, nastrój likwidacji przedsiębiorstw państwowych, a w tych warunkach, organizacja i wydajność pracy musi być z konieczności słabsza.

W rezultacie mamy wielkie marnotrawienie sił społecznych, które szkodzi zarówno jednej jak i drugiej stronie — szkodzi całości.

Jeśli chodzi o poziom naszego prywatnego przemysłu, to wiele można by mu było postawić zarzutów. Przemysł prywatny boryka się z trudnościami, nie potrafi sobie wywalczyć swej własnej prosperity z wyjątkiem tych gałęzi, w których dochodzi do różnych zmów kartelowych, lub które żyją z dostaw dla ...państwa lub dla tych znienawidzonych przedsiębiorstw etatystycznych.

Przemysł polski, mimo taniej robocizny, zbyt drogo pracuje w porównaniu z zagranicą, nie ma odpowiednich urządzeń, nie stara się o robienie nowych inwestycyj, ograniczając się jedynie do najniezbędniejszych.

Gdy jednak bliżej wejrzymy w warunki działania naszego przemysłu prywatnego, to możemy znaleźć pewne okoliczności łagodzące. Do dobrego rozwoju naszego przemysłu brak zasadniczych warunków. Przede wszystkim brak pojemnego rynku zbytu. Konsumcja krajowa stoi na tak niskim poziomie, że w wyjątkowych tylko wypadkach przemysł nasz pracuje przy pełnym wykorzystaniu swoich możliwości wytwórczych. W tych warunkach przemysł musi drogo pracować, już chociażby z tego powodu, że nie może przejść na ogół na system produkcji masowej, standartowej, a również nie opłaca się robienie wielkich nakładów i inwestycyj. Fabrykanci chcąc się utrzymać na powierzchni coraz powszechniej przystępują do wzajemnych umów kartelowych lub półkartelowych, w poszukiwaniu zysków zarzucają specjalizowanie się w pewnych artykułach i przechodzą, bez odpowiedniego przygotowania, do produkowania coraz to nowych równoległych artykułów itd. Te metody samoobrony mogą w konsekwencji prowadzić jedynie do dalszego podwyższania kosztów własnych. Gdy dodamy do tego jeszcze, że samo państwo w pewnych gałęziach przemysłu popiera dumping eksportowy zarówno dla celów utrzymania produkcji na pewnym poziomie ilościowym jak i dla zdobycia dewiz zagranicznych, w tem większym jeszcze stopniu wzrastają ceny towarów przemysłowych, a tem samem pogłębia się dysproporcja między cenami przemysłowemi i cenami rolnemi, prowadząca do dalszego kurczenia się konsumcji.

Co więc należy zrobić, aby stworzyć podstawy pod trwały, a nie tylko koniunkturą wojenną i zagranicznemi pożyczkami galwanizowany rozwój przemysłu?

Przede wszystkim uważam, że atmosfera walki między przemysłem prywatnym i przemysłem etatystycznym musi ustąpić miejsca rzetelnej i organicznej współpracy. Jeżeli prywatny kapitalista mówi, że zbawi Polskę tem, że wydrze jakąś fabrykę z rąk administracji państwowej i weźmie pod swój własny zarząd, to mówi nieprawdę, ponieważ w ten sposób osiągnie tylko i jedynie zmianę tytułu własności na danym obiekcie gospodarczym i najwyżej skieruje do własnej kieszeni dopływ zysków z tego przedsiębiorstwa względnie pokrywać będzie z własnej kieszeni straty. Dla celów industrializacji kraju nie będzie to jednak miało żadnego znaczenia, jak długo oczywiście nie zmienią się zasadniczo warunki pracy danego warsztatu.

Jako jeden z głównych czynników, który mógłby w wybitny sposób przyczynić się do osiągnięcia tego celu, uważam *racjonalną politykę zakupów państwa i przedsiębiorstw państwowych.*

Jak wynika z obliczeń dr. Bernadzikiewicza, zakupy na rynku państwa i przedsiębiorstw państwowych (nie licząc samorządów itd.) wynoszą około 1.700 milionów złotych rocznie, z czego conajmniej 1.500 milionów przypada na zakupy towarów przemysłowych, co stanowi około (włączając samorządy) 20% ogólnej cyfry obrotu przedsiębiorstw przemy-

słowych, którą szacuję w 1937 r. na około 7 miliardów złotych rocznie.

Zdając sobie sprawę z trudnych warunków pracy przemysłu prywatnego, któremu brak przede wszystkim możliwości do rozwinięcia produkcji masowej, uważam, że było by bardzo celowe, aby zakupy państwowe dokonywać w ten sposób, aby *umożliwiały one poszczególnym dostawcom państwowym możność zorganizowania stałej i standartowej produkcji.* Chodzi więc przede wszystkim o to, aby zamówienia państwowe dotyczyły nie tylko drobnych dostaw od wypadku do wypadku, by nie ograniczały się do zawierania umów maksymalnie na czas 3 miesięczny (jak obecnie zazwyczaj ma miejsce), lecz by umożliwiały zatrudnienie danej fabryki przez dłuższy okres czasu. Konkretnie mówiąc chodzi o to, by zamówienia państwowe dla poszczególnych dostawców udzielane były na dłuższy okres czasu. Korzyści wynikające dla dostawcy państwowego z takiego sposobu zorganizowania dostaw państwowych są zupełnie wyraźne. Zamiast kontraktu 3-miesięcznego na dostawę pewnej ilości towarów, po upływie którego dostawca narażony jest na ewentualność utraty dalszych zamówień państwowych, zawierałoby się np. umowę na okres 2 lub 3 letni. Dzięki temu dostawca mógłby lepiej zorganizować pracę w swej fabryce, mógłby przeprowadzić potrzebne inowacje i inwestycje, które by umożliwiły tańszą produkcję itd. i tem samem mógłby niewątpliwie zaoferować państwu niższą cenę niż wtedy, kiedy pracuje za pomocą przestarzałych metod pracy i bez inwestycji.

Z takiego unormowania wzajemnych stosunków z konieczności musiałaby wyniknąć wspólna korzyść zarówno dla państwa, które miałoby możność obniżenia ceny zakupów, jak i dla samego dostawcy, który mimo obniżenia ceny sprzedażnej mógłby — o ile posiada odpowiednie zdolności organizacyjne — osiągnąć jeszcze większe zyski, niż dotychczas nawet przy wyższej cenie.

Ponadto taki system zorganizowania pracy dostawców państwowych wywarłby z konieczności korzystny wpływ również i na dalsze kręgi naszego przemysłu.

Jeżeli bowiem bezpośredni dostawca dla państwa ma zorganizowaną na dłuższy okres czasu produkcję, to tem samem może również i swym własnym dostawcom udzielać zamówień na dłuższy okres czasu, co również i im umożliwi przeprowadzenie oszczędności, lepszą organizację wewnętrzną, a tem samem i potanienie kosztów produkcji.

Biorąc więc pod uwagę wielki udział państwa w naszym życiu gospodarczym — wierzyć należy — że ta nowa organizacja umożliwiłaby zupełnie nowe korzystne warunki rozwoju dla znacznej części naszego przemysłu.

Aby jednak ten cel osiągnąć, państwo i przedsiębiorstwa państwowe musiałyby stworzyć specjalne centrale zakupów, które by zaopatrywały wszystkie swe placówki w towary produkowane przez danego dostawcę, względnie kilku dostawców. Jako pierwszą próbę tych central mam na uwadze istniejącą już nawet centralę zaopatrzenia instytucyj ubezpieczeń społecznych, jak również i sui generis centralę zakupów, zorganizowaną przez P. A. T. w zakresie druków, zakupywanych przez instytucje państwowe.

Nie będę w tym miejscu bliżej omawiał działalności tych central, jedno jednak wydaje się pewne, że w wyniku dały one znaczne oszczędności ubezpieczeniom społecznym, względnie państwu, a z drugiej strony nie tylko że nie przyczyniły się do upadku odnośnych gałęzi przemysłu, lecz przeciwnie — jeśli chodzi zwłaszcza o przemysł farmaceutyczny — centrala zaopatrzenia instytucyj ubezpieczeń społecznych odegrała dużą rolę dla powstania nieźle prosperującego przemysłu krajowego, mimo to, że ubezpieczalnie społeczne zapewniły sobie dzięki istnieniu centrali o wiele niższe ceny niż to miało miejsce przed jej powstaniem.

Na jedno jednak chciałbym zwrócić uwagę, a mianowicie na to, że gdyby dzięki systemowi centralizacji zakupów udało się państwu uzyskać od dostawców wzamian za zapewnienie im warunków stałej pracy chociażby 10% obniżkę cen, to państwo mogłoby uzyskać rocznie conajmniej 150 milionów złotych oszczędności, które by mogły być użyte na inne potrzebne cele, czy to na zmniejszenie podatków, czy to na cele inwestycyjne. Jak wielką zaś rolę w naszych warunkach może odegrać taka kwota oszczędności, i to kwota uzyskana *nie w drodze zwykłej kompresji wydatków, nie w drodze zwykłego obniżenia cen dla dostawców bez względu na warunki ich pracy,* ale poprzez umożliwienie im obniżenia własnych kosztów produkcji, wystarczy wskazać, że dzięki tym oszczędnościom można by naprzykład było znieść chociażby akcyzę na cukier, i tem samem doprowadzić cenę cukru do około 60 groszy za kilogram, co w konsekwencji według wszelkiego prawdopodobieństwa zwiększając konsumcję cukru umożliwiłoby rozszerzenie uprawy buraka cukrowego.

Pójście na tę drogę rozwoju nie da się jednak osiągnąć bez przeprowadzenia pewnych zmian w całym systemie i nastawieniu naszej polityki gospodarczej, a w szczególności skarbowej. Bliższe omówienie tych zmian oraz podziału ról między przemysł państwowy i prywatny, odkładamy do następnego numeru.

UWAGI

KOMPLEKSY PROCENTU I ZABEZPIECZENIA

Panta rei — wszystko płynie. Płynie i zmienia się — takie refleksje nasuwają się w pierwszym rzędzie, praktykom bankowym i ekonomistom wychowanym na zasadach nauki liberalnej, gdy z uśmiechem wyrozumiałości obserwują powstawanie kredytu bezprocentowego. Trzeba sięgnąć do najgłębszych akumulatorów mózgowych naładowanych kiedyś, w okresie studiów teoretycznych, przypominać kolejno klasyków ekonomii, aby dopiero uprzytomnić sobie, że nikt z luminarzy wiedzy ekonomicznej nie twierdził, aby procent był nierozdzielną istotą kredytu. A trzeba tak znacznego wysiłku dla ustalenia tej okoliczności, gdyż rozpowszechniona bez wyjątku praktyka w ustroju kapitalistycznym nie znała formy kredytowego obrotu pieniężnego bez procentu.

Kredyt bezopłatny, który w praktyce zdaje się przeto pojęciem rewolucyjnym, nie jest niczem nowym w zakresie teorii myśli ekonomicznej, nawet w liberalnym jej ujęciu.

Ruch kas bezprocentowych staje się obecnie rzeczywistością. Zapoczątkowany został w środowisku, które prym trzyma w zakresie prywatnej inicjatywy gospodarczej — wśród żydów. Rozszerza się stopniowo na chrześcijańskie środowiska, początkowo wśród miejskiej ludności rzemieślniczej i drobnokupieckiej, a ostatnio stopniowo przerzucać się zaczyna i szerzyć na wsi. Posiadamy już w Polsce kilka związków kas bezprocentowych, mowa jest o ich unifikacji, a Bank Gospodarstwa Krajowego roztoczył nad nimi opiekę finansową. Wkrótce już pewnie i publicystyka gospodarcza zacznie „programowo" o wielostronnie oświetlać to zagadnienie. Na to jednak trzeba zaczekać do chwili, kiedy w rozdziale „Pieniądz i Kredyt" Małego Rocznika Statystycznego ukaże się rubryka bilansów, obrotów, zysków i strat kas bezprocentowych. Jakże bez danych statystycznych rzeczowo można mówić? A jednak nawet bez danych warto pomówić. Należy zastanowić się na jakim tle powstają bezprocentówki i jakie są ich istotne cele.

Poprawa gospodarcza pastępuje naprzód, czy też jeszcze w Polsce trwa, — jak kto woli. Czy jednak na każdym odcinku życia gospodarczego?

Obrót pieniężny: wkłady rosną, następuje upłynnienie aparatu kredytowego, suma protestów wekslowych maleje, ale maleje również obrót kredytowy w porównaniu ze wzrastającym ogólnym obrotem gospodarczym. Maleje pomimo szerokiej, choć jednostronnej interwencyjnej akcji kredytowej. Maleje — gdyż dysponenci kredytu, chorują na dwa kompleksy: *procentu i zabezpieczenia*. Kompleks zabezpieczenia, szczególnie rzeczowego, poderwał kredyt odebrawszy mu cechy najistotniejsze. To co we właściwie pojętym obrocie kredytowym stanowi czynnik niezbędny lecz subsydiarny, wysunięte zostało na plan pierwszy, jako element konieczny i dominujący.

Kompleks rzeczowego zabezpieczenia jako podstawowe kryterium oceny zdolności kredytowej dłużnika znajduje głębokie podłoże w psychice narodowej. Zarówno szlachecka, jak i chłopska, a więc ponadstanowa polska wiara w morgi przeniknęła widać i dysponentów kredytu w postaci przywiązania i wiary w majątek nieruchomy dłużnika. Ocena jego zdolności kredytowej z punktu widzenia pozostałych czynników jak przedsiębiorczość, umiejętność gospodarowania, uczciwość, przyszła rentowność przedsiębiorstwa, stanowiące zespół warunków spłacalności, schodzą na plan drugi.

Przy takich kryteriach oceny zdolności dłużnika kredyt nie może spełnić należnej roli przyczynienia się do postępu gospodarczego. Jest on w tych warunkach konserwatywny, a więc pod względem dynamiki gospodarczej bierny. Nie odgrywa również właściwej roli społecznej, jako częściowy czynnik podziału dochodu społecznego, gdyż będąc dostępny jedynie dla grupy o pewnym poziomie majątkowym nie przyczynia się do zapoczątkowania stanu posiadania, a więc ilościowego powiększenia tej grupy. Zaznacza się to zwłaszcza w zakresie kredytu rolnego, gdzie obecnie przyjęte formy zabezpieczenia są mniej zróżniczkowane niż np. przy kredytach handlowych o rozwiniętym zabezpieczeniu osobowym, a ponadto istniejących różnorodnych pożyczkach warrantowych, frachtowych, rachunków otwartych pod zabezpieczenie depozytowe.

Wypracowanie nowych kryteriów oceny zdolności kredytowej dłużnika opartych na rentowności jego poczynań gospodarczych, rozpoczętych na skutek uzyskania kredytu, stanowi warunek, bez którego kredyt nie spełni należycie swej roli przyczynienia się do gospodarczego i społecznego postępu.

Wybujała od szeregu lat interwencyjna akcja kredytowa powstała między innymi na świadomym, lub podświadomym wyczuciu tych gospodarczych i społecznych braków samoczynnego działania organizmu kredytowego. Z natury rzeczy opierając się w czynności rozdzielczej na tym samym aparacie kredytowym, interwencja kredytowa tylko w części spełniła swe zadanie. Złagodziła ona ujemne skutki kompleksu procentu, przez wprowadzenie na rynek pieniężny konkurencji niskoprocentowych kredytów. Ponadto w postaci kredytów celowych kontroluje ich zużycie pod względem gospodarczym, a przez to zapewnia wierzycielowi jeśli nie rentowne, to przynajmniej produkcyjne ich zużycie przez dłużnika. Rozwiązuje to jednak omawiany problem tylko częściowo.

Na tle tych niedomagań obrotu kredytowego powstaje z inicjatywy społecznej ruch kas bezprocentowych.

Powierzchowne i błędne byłoby mniemanie, że chodzi jedynie o dostarczenie bezpłatnego pieniądza. Najistotniejsze cechy tego ruchu, może jeszcze nieuświadomione w opinii powszechnej, są znacznie głębsze. Szukać ich należy raczej w dziedzinie reakcji, przeciw błędom kompleksu zabezpieczenia. Jest to próba poszukiwania nowych kryteriów oceny zdolności kredytowych dłużnika w oparciu o ideologię

wiary w człowieka, kontrolowanego przez więź społeczną.

Nie formalne uprawnienia wierzyciela, wynikające z zabezpieczeń opartych o prawo, nie martwa substancja rzeczowego zabezpieczenia, lecz człowiek-dłużnik jest gwarantem wierzyciela w uzyskaniu należności. Umiejętność gospodarowania i sumienność dłużnika stanowią rękojmię spłaty.

Przesunięcie punktu ciężkości w kryteriach oceny zdolności kredytowej ze stanu majątkowego dłużnika na jego wartości osobiste, stanowi najistotniejszą cechę nowego poczynania gospodarczo-społecznego jakim są Kasy Bezprocentowe.

W organiźmie gospodarczym, który cechuje znaczny przerost czynnika pracy nad elementem posiadania jest to zagadnienie żywotne: proces gospodarczego wyzwalania się dużego, niewykorzystanego potencjału pracy przez przysparzanie gospodarstwu narodowemu jednostek samodzielnie, twórczo zatrudnionych może być znacznie przyspieszony przez znalezienie odpowiednich kryteriów oceny zdolności kredytowej dłużnika. Opierać się one powinny nie na ocenie rentowności i majątku dłużnika w chwili zaciągania zobowiązania, lecz na przyszłej rentowności jego przedsiębiorstwa uzyskanej na skutek otrzymania kredytu.

Wtórnym zagadnieniem jest, czy Kasy Bezprocentowe rozwiążą ten problem. Jest już ich zasługą, że zagadnienie to postawiły. Istnienie ich, choćby tylko przez oddziaływanie negatywne wywołuje konieczność poddania zmianom dotychczasowej działalności aparatu kredytowego w zakresie wysokości oprocentowania i podstaw oceny zdolności kredytowej. Niezależnie więc od własnych wyników społecznych i gospodarczych, Kasy Bezprocentowe przyczyniają się już obecnie do koniecznej i właściwej ewolucji systemu kredytowego.

Stanisław Ozima.

W OBLICZU WIELKICH TRUDNOŚCI

Dzisiaj, kiedy oznaki dekoniunktury stają się na świecie coraz wyraźniejsze i coraz szerszy mają zasięg, sama przez się upada złudna choć szeroko rozpowszechniona w ostatnich latach w Polsce nadzieja, że ceny światowe dzięki stałej poprawie koniunktury dogonią w złocie niezdewaluowane polskie ceny. Okresy bowiem wybitnych koniunktur zdają się w obecnych czasach majaczeć co najwyżej w mgłach dalekiej przyszłości.

Samo przez się jest zrozumiałe, że wejście w okres dekoniunktury światowej z obecnym poziomem cen w Polsce musi wytwarzać tendencję kurczenia się polskiego eksportu, co jest dla Polski, chcącej utrzymać się jak najdłużej na fali wzrastającej, nie do przyjęcia, ponieważ importu poza drugorzędnemi pozycjami ograniczać nie można. Cóż więc pozostaje — premie? Pomijając już inne niebezpieczeństwa związane z rozrastającą się polityką premiowania wywozu, wystarczy ustalić, że szerszy rozrost premiowania przy dzisiejszym napięciu naszych wydatków inwestycyjnych jest właściwie nie do przyjęcia z punktu widzenia budżetowego. Rzecz prosta okres obecny nadaje się może bardziej niż inne okresy, do usiłowań zrewidowania naszej polityki premiowania wywozu w tym kierunku, aby przy tej samej sumie premij zwrócić się do artykułów walutowo bardziej dochodowych. Wiemy jednak chyba wszyscy, że odstępstwa od tego wahania były czynione dotychczas przede wszystkim nie ze względów niewiedzy, a jedynie nacisków realnego rozkładu sił gospodarczych w Polsce, i dlatego trudno spodziewać się na tej drodze jakichś poważniejszych osiągnięć.

Skoro zaś nie premie, to co pozostaje? Gniecenie — horribile dictu — cen wewnętrznych. I to właśnie dosłownie gniecenie.

Nie możemy się bowiem w żaden sposób zgodzić z autorem uwagi pomieszczonej w Nr 9 „Gospodarki Narodowej" p. t. „Poziom cen", że na obniżenie się wewnętrznych cen naszych artykułów wywozowych wpłynie, i to w okresie czasu, który dla tej obniżki jest decydujący, zniżka cen tych artykułów, które korzystają z taniejących dzisiaj na świecie surowców i którym by można naprawdę uprzystępnić tę taniość surowców przez walkę z istniejącą dzisiaj u nas w tej dziedzinie rentą kontyngentową, drogą rozluźnienie ograniczeń przywozowych odpowiednich surowców.

Zwłaszcza że ten środek oddziaływania na wzrost naszego eksportu musiałby być wyjątkowo efektowny, ponieważ w zasadzie musiałby pokryć dewizy wydatkowane na wzmożony import. A tymczasem taka droga pośrednia wydaje się wysoce niepewna. Nie wiadomo bowiem, czy potanienie pewnych artykułów zostałoby w ogóle uwzględnione w kosztach własnych innego pracującego na wywóz przemysłu, zwłaszcza, że droga od artykułów produkowanych z surowców przywożonych do artykułów wywożonych jest przecież czasem dość odległa. Nie znaczy to bynajmniej, byśmy nie doceniali wpływu zniżki cen niektórych artykułów na kształtowanie się naszej koniunktury wewnętrznej, przeciwnie, gdyby sytuacja dewizowa na to pozwalała, bylibyśmy jaknajgorliwszymi zwolennikami oddziaływania przez import na spadek niektórych cen wewnętrznych. Tylko, że to nie prowadzi — naszym zdaniem — do sanacji naszego bilansu handlowego, w okresie czasu, o który nam chodzi, a na razie jest nawet dla tego bilansu gorszym ciosem. I dlatego wydaje nam się, że jak w analizowanym przez nas wyżej zabiegu „ofiarą" miała paść w gruncie rzeczy nadmierna renta kontygentowa, tak i w ogóle „ofiarą" dążenia koniecznej z punktu widzenia naszego bilansu handlowego obniżki cen wewnętrznych, musiałyby paść wszelkie nadmierne zyski, których — jak się wydaje — nie jest w Polsce obecnie tak znowu mało, a które straszeniem dewaluacji walutowej może udało by się częściowo zlikwidować. Piszemy to ostatnie wskazanie umyślnie w trybie warunkowym, ponieważ osobiście nie wierzymy, aby nawet w tak groźnym jak obecny momencie walka z wszelką „kartelizacją" mogła się naprawdę udać. Jakże znamienne jest — naszym zdaniem — to, że autor wspomnianej wyżej uwagi delikatnie uważa tę walkę „dzisiaj" nie za zagadnienie centralne!

Ale ten czy inny stopień wiary w możliwość przeprowadzenia takiej walki nie sprawia jeszcze w najmniejszym stopniu, że walka ta jest w gruncie rzeczy jedynym zdrowym środkiem spieszenia na pomoc zagrożonemu bilansowi handlowemu, a tem samem w naszych stosunkach bilansowi płatniczemu. Wszystko inne jest bądź dobrowolnym, bezpośrednim tłumieniem koniunktury wewnętrznej, bądź dążeniem, aby za wszystko zapłacił znowu świat pracy drogą obniżki płac.

Ponieważ zaś w naszych stosunkach społecznych nie wydaje się rzeczą możliwą obniżenie nominalnych zarobków w jakimś szerszym zakresie, coraz milsze będzie się wydawać, w miarę zbliżania się ku jesieni, obniżenie tych zarobków na drodze mniej jawnej i przez to być może bardziej skutecznej. Przyznajemy dość chętnie, że droga ta uratuje również nasz bilans handlowy, tylko co będzie ze zdolnością nabywczą rynku wewnętrznego i jak odbije się to zwłaszcza na kształtowaniu się ciągle jeszcze chorujących cen rolnych, to już inna sprawa .

I dlatego wbrew temu, co się stanie, trzeba mieć odwagę wyznawania dzisiaj hasła gniecenia cen wewnętrznych na wszystkich odcinkach nadmiernych zysków, jako jedynego hasła, które mogłoby obronić poprawiony nieco ostatnimi czasy podział dochodu społecznego w Polsce.

Zam.

I GODZINĘ — I DŁUŻEJ

Bardzo wielu ekonomistów szkoły „klasycznej" twierdziło w ostatnich latach i miesiącach, iż koniunktura w Polsce związana jest tak ściśle z rozwojem koniunktury międzynarodowej, że „nie potrwa od niej ani godziny dłużej". Widzimy, że jest zgoła inaczej. Wskaźniki koniunkturalne we wszystkich nieomal krajach świata wykazują zniżkę, graniczącą tu i owdzie (jak np. w Stanach Zjednoczonych) z zupełnie już wyraźną depresją, a w Polsce koniunktura — bez uroku — trzyma się jednak nadal. Oczywiście nie ma znów w tem nic tak przyjemnego, że nasz cykl koniunkturalny (o ile cykl...) przebiega ze znacznym opóźnieniem w stosunku do reszty świata, ale pocieszajmy się, że są na świecie również i takie organizmy gospodarcze, gdzie w ogóle koniunktura od 1933 roku ulega stałej i niezmiennej zwyżce. Tak czy inaczej — koniunktura w Polsce przetrwała, jak widzimy, już obecnie „dłużej niż godzinę" po koniunkturze rynków anglosaskich i tych, które są z nimi związane.

Jeśli tak jest, nie znaczy to jednak, aby mogło tak trwać wiecznie.

Gdyby obecna recesja niejednolita — jak mówiliśmy — (i o wiele słabsza chwilowo od wypadków 1929 r.) miała trwać nadal i przerodzić się w głębszą depresję, wówczas trzeba by jąć się obrony naszej własnej koniunktury. Trzeba by sobie powiedzieć, iż niemożliwym jest utrzymywanie a priori stanowiska, wiążącego nas nierozerwalnym węzłem z wypadkami gospodarczymi w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych. Nie dlatego, aby być zdecydowanym przeciwnikiem takiego węzła i głosić jakąś ideologię autarkiczną, ale poprostu dlatego, iż dotychczasowy rozwój wypadków w tych krajach doprawdy nie daje nam gwarancji, że wstrząsy, jakie przechodzą one, wypływają istotnie z nieubłaganych konieczności automatyzmu gospodarczego, konieczności, którym przejściowo poddać się trzeba każdemu. Nie widzimy żadnej dobrej racji, aby polski robotnik musiał koniecznie tracić pracę a polski chłop głodować dlatego, że p. Roosevelt załatwia swoje porachunki z Wall Street, psuje „nastroje" i nie może dać sobie rady z cenami. Gdyby recesja amerykańska nastąpiła istotnie po osiągnięciu kulminacyjnego napięcia koniunktury, gdyby wynikała ona, innymi słowy, z logiki rozwoju gospodarczego a nie ze starć wewnętrzno-politycznych i z nieudolności posunięć interwencjonistycznych w tym kraju, można było by ostatecznie poddać się losowi, wierząc, że po wahnięciu się koniunktury w dół nastąpią znów lepsze czasy. Ale dziś, kiedy nie wiemy w jakiej mierze zaczerpnie się w Stanach znów hojną ręką z olbrzymich rezerw tego kolosa, aby dźwignąć upadającą koniunkturę nowym jakimś „zastrzykiem", który z kolei niewiadomo czy będzie i na jak długo skuteczny, „wiązać" się z tak niepewnymi losami doprawdy nie sposób.

Powtarzamy: nie wysuwamy tutaj żadnej ideologii autarkicznej „dla zasady", ale szukamy przejściowych wyjść praktycznych podyktowanych, zdaniem naszym, doświadczeniami zabójczego kryzysu polskiego i porównaniem ich z przebiegiem kryzysu w innych krajach, które stosunkowo albo łatwiej albo przynajmniej mniej boleśnie przeszły kataklizm 1930 — 1933 r. Łatwiej — kryzys przeszły wszystkie kraje o wielkich zasobach, mogące pozwolić czy to na kosztowne „remedia" czy na posunięcia polityczno-gospodarcze dla słabszych finansowo krajów na ogół niedostępne. Mniej boleśnie natomiast przeszły kryzys kraje, znajdujące się niejednokrotnie w warunkach nie lepszych od nas, ale które ustosunkowały się do zagadnień, piętrzących się przed nimi w obliczu depresji, *aktywnie*. Nauczeni deflacyjnym doświadczeniem powinniśmy uniknąć za wszelką cenę jego powtórzenia.

Spadek koniunktury na świecie przy jednoczesnym utrzymaniu się jej w Polsce uderza nas odrazu w miejsce bardzo czułe, a mianowicie w równowagę naszego bilansu płatniczego. To, że mamy dość pokaźne ujemne saldo bilansu handlowego w roku bieżącym jest przecież zupełnie jasnym odbiciem naszej sytuacji koniunkturalnej na tle koniuktury światowej. Zwiększony przywóz przez surowce i inwestycje dla rozwijającego się przemysłu nie znajduje oparcia w słabnącym wywozie, któremu na skutek spadku cen na wielu rynkach zagranicznych coraz trudniej idzie jego penetracja. Ograniczenia dewizowe chronią nas od nagłego wstrząsu, ale à la longue na obecny stan rzeczy pozwolić sobie absolutnie nie możemy. Walka o równowagę bilansu płatniczego staje na czele zadań naszej polityki gospodarczej w chwili obecnej. Jeśli ją wygramy — a wygrać ją możemy — losy naszej koniunktury będą zabezpieczone.

Widzimy już uśmiech na ustach domyślnych czytelników: aha — proponuje dewaluację... Nie — i nie: pod żadnym pozorem. Na deprecjację i utrzymywanie złotego manipulacjami funduszu wyrów-

nawczego w granicach pewnej wartości nie pozwalają nam ani nasze środki ani ogólne warunki wewnętrzne. A dewaluować sensu stricto, tj. stabilizować złotego na jakimś nowym niższym poziomie byłoby zupełną lekkomyślnością wówczas, kiedy jedynym elementem międzynarodowej stabilizacji walutowej jest owe nieszczęsne 35 dolarów za uncję złota płacone „fixe" w Stanach Zjednoczonych (o ile — notabene — z wypowiedzeniem dosłownie 24-godzinnym nie staną się one pewnego pięknego poranku 25 albo 45 dolarami). Któż nam w takiej sytuacji może zaręczyć, że po roku czy dwuch nie trzeba będzie znowu „przystosowywać" złotego do jakiegoś innego poziomu cen światowych w złocie?..

Koniunkturę w Polsce można i należy zabezpieczyć środkami praktycznymi ale zato energicznymi. Jak to się mówi — „domowymi środkami", zwłaszcza, kiedy od zagranicy pomocy spodziewać się nie należy. Trzeba przede wszystkim zlikwidować ujemne saldo bilansu handlowego *wszelkimi* możliwymi sposobami. Że jest to trudne — wiemy dobrze, ale napewno jest możliwe. Nie należy dociekać teoretycznie, jakie byłyby najwcześniejsze i najbardziej „ekonomiczne" środki poparcia naszego wywozu, ale poprostu trzeba go *odrazu i mocno popierać*. Jeśli potrzeba funduszów na pomoce eksportowe, *muszą* one się znaleźć. Jeśli nie wystarczą i trzeba będzie użyć innych manipulacji, mogących nam praktycznie dopomóc, nie należy wahać się przed ich użyciem, cokolwiekby nieboszczyk Adam Smith, gdyby wstał z grobu, na ten temat powiedział. Trzeba się o utrzymanie koniunktury bić „per fas et nefas", bronić jej — i nie teoretyzować. Kiedyś ostatecznie „utrzęsie" się dzisiejszy chaos gospodarstwa światowego i będzie można z czystym sumieniem wziąć udział w (zmienionym — oczywiście w stosunku do warunków przedwojennych) nowym ustroju gospodarczym na kuli ziemskiej. Chwilowo jednak wypada nam — jak zresztą wszyscy to czynią — dbać wyłącznie i jedynie o nasze własne interesy, nie oglądając się na „opinię" tych, którzy i tak i tak pomóc nam nie chcą i nie mogą. Przy takim kursie polityki gospodarczej koniunktura w Polsce potrwa i „drugą godzinę" i znacznie dłużej po recesji światowej. Aż się doczekamy znów jakiejś haussy, która nam pomoże. Oby — zresztą — jaknajprędzej.

f. k.

NOTATKI

„DABLJU PI EJ"

W czasach, gdy jeszcze nie znane było w Warszawie zarobkowanie studentów w licznych zespołach muzycznych, spotkałem się z oburzeniem pewnego pana mniej więcej tej treści: „dlaczego nasi studenci nie zarabiają tak jak amerykańscy — czyszczeniem butów?" Istotnie, dlaczego nie mieliby tego czynić? Czyżby to miało wypływać jedynie z powszechnej w Polsce pogardy pracy fizycznej? Może! A może są i inne przyczyny? Np. tak błaha, rzecz, że w Polsce prawie wszyscy czyszczą sobie, względnie im czyszczą buty w domu, zaś w Ameryce — na ulicy u pucybutów.

Opowiadam tę bajeczkę poto, aby czytelnik nie pomyślał, iż w dalszych wywodach popełniam błąd, o którym była mowa wyżej. Dalsza treść bowiem ma dotyczyć fragmentów sprawy bezrobocia w Ameryce. Przeciwnicy wszelkiego interwencjonizmu, czystej krwi liberały, krytykując m. in. politykę Roosevelta, wskazują na wielomilionowe bezrobocie w Ameryce. (Nawiasem mówiąc zarówno czystość krwi jak czystość intencji „pur sang liberałów" pozostawiają wiele do życzenia). Zapominają jednak bądź nie wiedzą o tem, iż primo bezrobotny w Ameryce lub Anglii ma się lepiej niż robotnik lub chłop w Polsce — i secundo, że właśnie Roosevelt podjął zorganizowaną walkę także z bezrobociem. Tak, jak przed jego reformami popularną w New Yorku była — mówiąc fonetycznie „bredlain", tak teraz jest popularna „Dablju pi ej". Pierwsza to Breadline — wielotysięczny ogonek za chlebem na 25 street w N.-Y. Drugie to W. P. A. — Works Progress Administration, odpowiednik (z zachowaniem skali) naszego Funduszu Pracy.

Otóż W. P. A., operując olbrzymim budżetem, zatrudnia bezrobotnych przy robotach publicznych, budowie dróg, szkół, bibliotek, teatrów, zakładaniu parków, ogródków zabawowych dla dzieci itp. Bezrobotni pracują od 8 do 32 godzin tygodniowo, zarabiając powyżej 50 dolarów miesięcznie. Zaznaczyć przytem należy, że mieszkania są tam i lepsze i większe i tańsze, zaś koszty utrzymania są na poziomie naszych. Oznacza to, że za 50 $ rodzina robotnicza przeżyje skromnie miesiąc, będzie miała opłacone mieszkanie i nie zazna niedostatku. Bezrobotnemu i rodzinie jego zapewnia się sprawną, darmową opiekę lekarską, bez zbędnej formalistyki. Wystarcza zgłosić się do publicznego szpitala, ażeby otrzymać pomoc. Dzieci są zaopatrywane w ciepłe ubrania, obuwie a niemowlęta w mleko. Szkoły publiczne są bezpłatne z zasady, więc w tym względzie kłopotów bezrobotni też nie mają. Specjalną opieką otaczana jest młodzież od lat 18, którą — jeśli ona nie ma pracy lub nie kształci się — zachęca się do wyjazdu na obozy pracy. Młodzież jest tam kształcona i uczy się różnych fachów, zarabiając po dolarze dziennie, z czego miesięcznie otrzymuje 5 $, zaś 25 $ albo jest wypłacanych rodzinie albo wkładanych do banku. Bezrobotni artyści są zatrudniani w specjalnych teatrach,z których dochody idą na W. P. A., tak samo, jak wszelkie opłaty z imprez, organizowanych przez W. P. A.

Nie wchodząc w dalsze szczegóły, jesteśmy zdania, iż warto bliżej zapoznać się z „Dablju pi ej". Możebyśmy się z tamtąd coś niecoś nauczyli. Nie ma bowiem racji po temu, aby się ograniczać do „Winterhilfe" i kwestowania przez naszych dygnitarzy. Przykład bliski niekoniecznie ma być najlepszy. Warto czasem spojrzeć ponad głowami najbliższych sąsiadów.

a. s.

KONTRASTY

Jesteśmy już przyzwyczajeni do kontrastów, jakie istnieją w wielu dziedzinach naszego życia. Różnice dzielnicowe są jednym ze źródeł, dostarczających szczególnie jaskrawych przykładów. Różnice te zasługują na uwagę i podkreślenie. Mieliśmy możność wspomnieć o tzw. akcji siewnikowej Ministerstwa Rolnictwa [1]), zmierzającej do zaopatrzenia w siewniki możliwie wielkiej liczby gospodarstw rolnych. W związku z tą akcją dostajemy niezmiernie ciekawą ilustrację obecnego zaopatrzenia drobnego rolnictwa w siewniki.

Siewnik, jako maszyna dosyć droga, o złożonej budowie, wymagająca dobrego stanu doprawienia roli a jednocześnie pozornie łatwo zastępowalna przez zwykły siew ręczny, może być dobrym miernikiem stopnia kultury rolniczej poszczególnych części kraju. Zarazem będzie i wskaźnikiem potrzeb.

Podczas, gdy w woj. poznańskim przypada na każde 1000 ha ziemi ornej 36 siewników, w woj. pomorskim 14, to w żadnym z pozostałych województw liczba ta nie przekracza 5, przeciętnie dla Polski wynosi 4, a np. dla woj. wileńskiego wynosi 0,02! W liczbach absolutnych wygląda to następująco: poznańskie ponad 35.500 maszyn, wileńskie — 21.

Ze stwierdzenia stanu zaopatrzenia, wykazującego tak daleko idące różnice, że aż przykro przeprowadzać porównania, wynikają wskazania dla polityki rolniczej. W akcji podnoszenia rolnictwa jeszcze przez długi okres pierwszeństwo interesów dzielnic opóźnionych w swym rozwoju powinno być postulatem niespornym.

e. g.

[1]) Gosp. Nar. Nr. 9 „Świadoma nieświadomość".

CHYBIONA PROPAGANDA SPOŁECZNA

W połowie maja rb. urzędnicy, opłacający określony procent pensji na pomoc zimową otrzymali po 5 kartek, stanowiących rodzaj „potwierdzenia" składki, wpłaconej w miesiącach grudzień 1937 — kwiecień 1938. Kartki te są kolorowane i zaopatrzone specjalną numeracją, a zatem pomimo braku jakiejkolwiek wartości użytkowej czy pamiątkowej wykonanie ogromnego nakładu tych kartek musiało kosztować poważną kwotę. Wydatek ten był społecznie niewątpliwie zupełnie chybiony. Opłaty na pomoc zimową są przez organizacje pracownicze ściągane przymusowo z pensji, a zatem rozdawanie „ozdobnych" pokwitowań po skończonej akcji zbiórkowej nie tylko nikogo nie zachęci do większych datków na pomoc zimową, ale wywołuje uzasadnione podejrzenie, że fundusze przeznaczone na cele społeczne są w zbyt dużym stopniu obracane na zbędne wydatki administracyjno-propagandowe.

Podobne refleksje nasuwa wyświetlany obecnie w pewnym kinie stołecznym film, propagujący akcję ogródków działkowych. Film ten nie apeluje wprawdzie do ofiarności widzów, ale raczej zachęca bezrobotnych do pracy w ogródkach. „Artystyczne" walory tego filmu są niestety tego rodzaju, że budzą głośny śmiech i protesty widowni. Wyświetlanie tego filmu w kinoteatrze, w którym bilet kosztuje 1.70 zł lub 2.50 zł mija się oczywiście zupełnie z celem, gdyż łatwo przewidzieć, że w tym kinie wśród widzów nie będzie kandydatów na pracę w ogródkach działkowych. Ponieważ trudno przypuszczać, aby prywatna inicjatywa filmowa zajęła się propagandą akcji społecznej, należy się domyśleć, że i w tym wypadku odpowiedzialność za marnotrawienie funduszów i poziom artystyczny filmu spada na instytucję społeczną.

Tego rodzaju wypadki budzą podobny odruch jak przysłowiowe już „reklamy" kinowe pewnych firm. O ile jednak reakcja publiczności wyrażająca się w unikaniu produktów danej firmy wyrządza szkodę tylko przedsiębiorstwu, które mimowoli uprawia „ujemną propagandę", o tyle — chybiona propaganda akcyj społecznych ma znacznie poważniejsze konsekwencje ogólno-społeczne.

t. s.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.